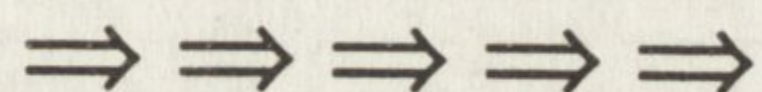


DYSKUSJA



Wyścig na okręcie „Beagle”*

„...Jednak zbyt głęboką radość sprawiła mi podróż, ażebym nie polecał każdemu przyrodnikowi, choć nie może oczekiwać, że będzie miał takie szczęście w doborze towarzyszy, jakie ja miałem, by wszystko zaryzykował i puścił się w podróż lądem, jeśli to możliwe, a jeśli nie – to w daleką podróż morską. Mogę go zapewnić, że nie napotka, nawet w przybliżeniu, trudności i niebezpieczeństw tak poważnych, jakich będzie się spodziewał, wyłączwszy rzadkie wyjątki. Pod względem moralnym podróż powinna go nauczyć pogodnej cierpliwości i wyzbycia się egoizmu; powinien umieć dbać sam o siebie i być zadowolony w każdej sytuacji. Krótko mówiąc, powinien nabrać zalet właściwych większości marynarzy. Podróże powinny go też nauczyć, by nie ufał zbyt łatwo każdemu, z drugiej strony przekona się zarazem, jak wielu jest życzliwych ludzi, gotowych do okazania mu jak najbardziej bezinteresownej pomocy, chociaż nigdy przedtem z nimi się nie stykał ani ich nigdy więcej nie ujrzy.”

Karol Darwin – „Podróż na okręcie «Beagle»”,
tłum. Kazimierz Szarski

Tuż po pięćdziesiątce to podobno najwyższa pora, by po raz ostatni zmienić swoje zainteresowania życiowe, by poddać próbie swoje zasady, by naprawić błędy młodości lub wreszcie poznać od nowa swoje możliwości. Nasz umysł pracuje jeszcze sprawnie, a ciało nie odmawia posłuszeństwa, więc wszelka zmiana wydaje się możliwa. Łatwo też zresztą w myśli o inwersję wieku: mamy na przykład 52 lata, zamykamy oczy i próbujemy sobie wyobrazić, że mamy lat 25. Tylko bardziej dziarscy mogą się na ten krok zdecydować dziesięć lat później. Można więc sobie wybrać całkowicie nową drogę naukową, można też wytyczyć sobie życie według któregoś ze znanych wzorców gwarantujących pełny sukces. Po zastanowieniu decydujemy się na naśladownictwo Darwina, bo któż w biologii nie chciałby być Darwinem. Ale oczywiście planujemy, aby nasze życie biegło szybciej, z mniejszym wysiłkiem, a sukcesy i sława były nie mniejsze niż w darwinowskiej biografii.

Zaczynamy oczywiście od podróży na okręcie „Beagle”. Właśnie przed 160 laty wyprawa była w toku, a Darwin zbliżał się do Archipelagu Galapagos, najważniejszego dla niego – jak się później okazało – obiektu badawczego tej podróży. Chociaż w moją podróż udaję się, będąc 4 lata starszy niż Darwin, to i tak swoje zdołam osiągnąć.

Właściwą podróż przygotowuję lepiej niż Darwin.

* Pamiętnik ekologa z podróży służbowej do wsi Čilin-Anzas (Gornaja Šorja, Zapadnyj Sajan na Syberii).

Zaoszczędzi się czas na podróży, bo któż świadom swojej misji, będzie marnotrawił pięć lat na morzu.

Wezmę ze sobą najnowsze komputery i laboratoria, bibliotekę, liczny sztab pomocników, którzy gorliwie będą ze mną współpracowali.

W moich późniejszych wspomnieniach, mówiąc o narodzinach idei naukowej, zρέcznie pominię rolę kapitana Fitzroya i protektora, prof. Henslowa. Któż zresztą o nich dziś pamięta. Tylko Lyella nie opłaca się pomijać. Najlepiej gdy napiszę, że na Galapagos i w inne ważne miejsca na Ziemi wybrałem się z dobrze przygotowanym planem i hipotezą wymagającą jedynie potwierdzenia.

Po wyprawie, w dalszej pracy uprości się też znacznie korespondencję jeśli chodzi o formę, treść i sposób jej przekazywania. Skończy się z prawieniem duserów pod adresem hodowców, rolników, myśliwych, podróżników. Postawi się sprawę jasno: kto chce dostarczać nam informacje, powinien tego dokonać sprawnie i szybko. Najlepiej jeśli to będą zwięzłe odpowiedzi na nasze pytania przekazywane faxem lub pocztą elektroniczną. Odpowiednio przygotowane sekretarki będą je segregować, wybierać najważniejsze dla mnie dane i potwierdzać na specjalnych drukach wedle najlepszych amerykańskich wzorów. Zresztą do wszystkiego dochodzimy sami, bo przyjmujemy, że jesteśmy najlepsi. Obserwacji i eksperymentów Darwina nie będzie się powtarzać, tylko ich wyniki lepiej zinterpretuje się. Przecież to już minęło ponad półtora wieku od podróży na „Beagle” i późniejszej mozolnej pracy.

W podróż wybieram się oczywiście z Plymouth, a nie z jakiegoś Gdańska lub Szczecina. To przecież wstęp do sukcesu. Po podróży zmieniam także styl życia. Nie będę tkwił w jakimś Down... Będę obecny wszędzie tam, gdzie dzieje się lub mówi coś ważnego, gdzie spotykają się ważne osobistości. Do Down będę jeździł na weekendy, by pokazywać znajomym i dziennikarzom jakie to gnuśne życie prowadził mój pierwowzór. Odtąd świadomie używam zaimków osobowych „ja” i „my”. Koniec z formami bezosobowymi!

A więc zaczynam swój wyścig z czasem, z kolegami, z samym sobą! Dobry pomysł już mam. Podstawą przyszłych sukcesów są: sprawny przebieg studiów, kontakty z wybitnymi uczonymi, dobra znajomość trzech języków obcych. Uczę się także chińskiego, bo chcę się wyróżnić. Bardzo dobra opinia i warunki zewnętrzne, oto moje dodatkowe atuty w tym wyścigu. Reszta też właściwie należy do mnie. Jeszcze się nie ożeniłem, ale już wiem kto będzie moją żoną. To ta kobieta, która zρέcznie podtrzymuje we mnie wiarę w moje możliwości i chętnie mówi o nadzwyczajnej misji, którą mam do spełnienia. To nic, że z powodu jej ograniczenia, popadam niekiedy w moim środowisku w chwilowe zakłopotanie. W razie potrzeby dokonam zmiany na stanowisku żony. Tymczasem jest mi niezbędna i wokół mówi się, że oboje się kochamy. Zresztą to córka mojego protektora.

A więc przystępuję do startu. Początek bardzo udany. Wszyscy chwalą dobry pomysł i sposób przeprowadzenia badań. Padają zachwyty nad sposobem dowodzenia i wynikami. Wreszcie najważniejsza chwila w życiu przyszłego uczonego: publiczna obrona rozprawy doktorskiej. Niby wszystko bardzo dobrze, ale w recenzji znalazły się jakieś drobne zarzuty, które wróg mojego promotora wyolbrzymiał. Zaczęła się krytyka, którą zniosłem bardzo źle. Czy oni nie rozumieją, że moje pokolenie nie nawykło do krytyki, że my źle znosimy brak afirmacji! Pomyślałem pierwszy raz, że gdyby to ode mnie zależało, to zabroniłbym takiej formy niszczenia młodych, dobrze zapowiadających się uczonych. Życzliwi mówią mi, że świetnie się broniłem, ale ja byłem przygotowany na niedyskusyjny sukces.

Mówi się o mnie dobrze, ale jakby z pewnym zastrzeżeniem. Postanawiam na to nie zwracać uwagi. Wspinam się wyżej, zwłaszcza że nie mam godnych przeciwników. Wokół życie toczy się niemrawo. Współpracownicy to nieudacznicy, moi koledzy to niezguły, niemrawcy i niedojdy. Lubię tempo!

Czasem jednak nęka mnie obawa połączona z zazdrością. Nikomu oczywiście o tym nie mówię. Jeśli czegoś zazdroszczę Darwinowi, to tylko tego, że nie musiał deklorować się jako darwinista.

Coraz częściej odnoszę wrażenie, że mój opiekun też zazdrości mi wszystkiego. Wokół odczuwa się niechęć. Kto ją podsycy? Dotąd żona, zachęcając mnie do wysiłku, nie przebierała w środkach, teraz coraz częściej żali się, że ją zaniedbuję. Ale ja pamiętam o moich celach! Po drodze z niesmakiem pozbywam się konkurentów.

Wreszcie dzieło mojego życia, tak jak je sobie zamierzyłem, jest gotowe. Tworzyłem je z przekonaniem, że dorówna przynajmniej dziełu Darwina, jeśli go nie przewyższy. A tu nagonka! Niektórzy mówią, że zorganizował ją mój niedawny protektor. Najważniejsze zarzuty głoszą, że dzieło napisane jest pośpiesznie, że materiały zebrano i opracowano niedbale, że założenia i wyniki są wtórne. Jakiś domorośły specjalista od modelowania twierdzi, że słabo znam zasady analizy systemowej, że moje modele są prymitywne, że mój poprzednik wyraził to wprawdzie słowami, ale w sposób znacznie doskonalszy i bardziej przekonujący. Sam zaczynam wątpić w moje ulubione twierdzenie, że nauka zaczęła się dopiero od komputera. Przecież wszystkich wokół o tym przekonywałem.

I jak tu być nowatorem, jeśli byle kto stawia ci zarzut i inni go w tym podtrzymują, machając ci przed nosem swoimi modelami! Wokół nieżyczliwość, ktoś odrzucił mój projekt badawczy. A przecież chciałem jak najlepiej dla nauki. Kiedy oni to wreszcie zrozumieją? Ale nie zrezygnuję z mojej misji! Zmieniam więc współpracowników, reorganizuję pracownię, szukam nowych kontaktów. Z zagranicy przyszła wiadomość o odwołaniu moich wykładów. Rozpada się mój

zespół interdyscyplinarny. Ale pozostała szkoła letnia i zleczone wykłady w kraju. Oczekuję ważnej wizyty. Rozbudowuję zakład. Jeszcze im pokażę, co potrafię. Czy nie ma legalnego sposobu na moich przeciwników? Drażnią mnie nieliczni już pochlebcy. Żona mówi, że już się skończyłem, teść: że jestem zbyt zarozumiały i zbyt pewny siebie, że zatraciłem krytycyzm, którego nigdy zbyt wiele nie miałem. Drań! Któż by nie był pewny siebie, gdyby tak jak ja był przekonany o swoich zdolnościach i roli, jaką ma do spełnienia w nauce.

Rozwodzę się z żoną i teściem–protektorem. Żenię się pośpiesznie, bo nie znoszę samotności. Obmyślam jak przebudować „Beagle” na łódź podwodną, by nie patrzeć na kolegów. Walka o zachowanie zdobytej pozycji tak mnie pochłania, że zdążyłem zapomnieć o tym, co mnie najbardziej w nauce interesuje. Już nie wiem co chciałbym zbadać! Dużo czytam, ale najchętniej swoje prace. Lektura kończy się zwykle podziwem.

Kto ponosi winę, że wybrałem taki niepewny kierunek badań? Kto podsunął mi takich okropnych współpracowników? Dlaczego, komuś takiemu jak ja, ciągle podstawia się nogi? Dlaczego nie bierze się ze mnie wzoru, chociaż... może ten nowy asystent...

Już się otrząsałem. Idę dalej! Mam pomysł, który może nie jest mój, bo któż dzisiaj wie co sam wymyślił, a co skojarzył słuchając kolegi–niezguły. Teraz dopiero pokażę na co mnie stać!

Och, gdybym mógł jeszcze raz zacząć od początku!

„Beagle” tonie! Ratuj się kto może!

Żona biegnie z sąsiedniego pokoju, budzi mnie gwałtownie, nalegając bym zaniechał pomstowania na niezyczliwych kolegów i niewdzięczną naukę!

Janusz Bogdan Faliński (Białowieża)